

IV Dzielnicowy Konkurs Czytelniczy
"Z baśnią przez świat"
- edycja jubileuszowa pod hasłem:
"100 lat Niepodległej - polskie baśnie i legendy".



Etap II

Przedziwna historia o dwóch siostrach - G. Morcinek

Były raz dwie siostry. Tej starszej było na imię Placyda, a ta druga, młodsza, miała na imię Stazyjka. Placyda była piękna, lecz Stazyjka była jeszcze piękniejsza. Placyda miała czarne oczy, czarne włosy, różane policzki i była ponura. Czasem była tak bardzo ponura, że wydawało się każdemu, iż jest noc, chociaż słońce świeciło. Gdy szła na przykład ścieżką przez las, wtedy wszystkie ptaki milkły, a pisklęta kulili się pod skrzydłami matki i kwiliły bojaźliwie. Jedyne gawrony darły się i krakały bardzo szpetnie i łopotwały czarnymi skrzydłiskami.

A gdy szła przez ogród lub przez łąkę, kwiaty mdlały i więdły. Jedyne osty i kąkole rozkwitały i były bardzo uradowane.

— Czemu, siostrzyczko, jesteś taka ponura? — pytała nieraz Stazyjka.

Placyda albo nic nie odpowiadała, albo odburkiwała:

— Daj mi spokój, ty małpo zielona!

Stazyjka nie była wcale podobna do zielonej małpy, lecz do wiosennej jutrzzenki, do najpiękniejszej lilii, do uśmiechu dziecka.

Jeden niesłychanie mądry filozof napisał siedem grubych ksiąg o tym uśmiechu Stazyjki, a ósmej księgi połowę. Pisał je zaś gęsim piórem maczanym w słońcu i miodzie. A podczas pisania tych siedmiu ksiąg, a ósmej księgi tylko połowy, zlatywały się ptaki, siadały mu na ramionach i na głowie, i na tych księgach, które już był napisał, i śpiewały mu bardzo pięknie. I przylatywał wiatr, niosąc mu z dalekiego świata zapach najurodziwszych róż. A pod kalenicą jego domku jaskółki ulepiły sobie gniazdko i przez cały dzień szczebiotały wdzięcznie. Wieczorem zaś, gdy już nadchodziła pora, by się kłaść do snu, tamten filozof czytał głośno, co napisał o uśmiechu Stazyjki. Wtedy jaskółki i jaskółczęta wychylały główki z gniazdek i słuchały z przejęciem, co im stary filozof czytał. A potem zasypiały, filozof zaś wychodził na ganek i patrzył na Mleczną Drogę na niebie. Wiedział bowiem, że gdy umrze, powędruje tamtą Mleczną Drogą do nieba. I tak też się stało. Bo gdy pisał ósmą księgę o uśmiechu Stazyjki, w połowie księgi umarł i powędrował istotnie po Mlecznej Drodze do nieba.

I dobrze.

A był jeden królewicz w dalekim kraju. Na imię miał Janek.

Ojciec jego, król Szłapeta III, miał z nim sto kłopotów i jeszcze kilka, bo chciał Janka ożenić z którąkolwiek księżniczką, a Jankowi żadna się nie podobała. Jedna była zezowata, inna kulawa, trzecia garbata, czwarta jąkała się bardzo, piąta była skąpa, a szósta tak bardzo gadatliwa, że gdy zaczęła gadać, to gadała i gadała, i nie mogła

skończyć. Siódma chrapała podczas snu i wtedy wszystkim się wydawało, że to dwustu i trzydziestu siedmiu drwali piłuje drzewo. Ósma nie umiała do trzech zliczyć, a dziewiąta znów wszystkie rozumy pozjadała.

Najgorzej było z dziesiątą księżniczką, gdyż umiała rozszczepiać włos na czworo, słyszała, jak trawa rośnie, i wiedziała, co w trawie piszczy. To wszystko nie byłoby jeszcze najgorsze. Najgorsze było, że domagała się ptasiego mleka i niebieskich migdałków.

— Gdybym miał ożenić się z taką księżniczką — powiedział wtedy Janek do swego ojca, króla Szłapety III — to musielibyśmy obaj, ojciec i królu, zejść na dziady! Nie starczyłoby ani srebra, ani złota w całym królestwie na zachcianki dziesiątej księżniczki o bardzo dziwnym imieniu — nazywała się bowiem Donna Pulcheria. Ponieważ już nie było w państwie króla Szłapety III jedenastej księżniczki, przeto ani król, ani jego doradcy nie wiedzieli, co teraz począć. Król Szłapeta podrapał się jednak berłem po głowie i już wiedział, co uczynić. Zwołał cały dwór, wszystkich ministrów, generałów, nadwornego kominiarza i najmądrzejszego lepiglinę, czyli garncarza. I radzili wszyscy przez trzy dni i trzy noce, aż w końcu nadworny astrolog spojrział przez lunetę na gwiazdy i tak oto rzekł:

— Królu jegomościu i wy wszyscy przezacni i mądrzy dworzanie! Oto widzę w gwiazdach jedną najpiękniejszą gwiazdę, a to jest gwiazda królewicza Janka. A obok niej drugą gwiazdę jeszcze piękniejszą, a to jest gwiazda precudnej dziewicy w bardzo dalekim kraju...

— A jak się nazywa ta precudna dziewczica? — zapytał królewicz Janek.

— Nazywa się tak pięknie, że gdy wypowie się jej imię, słowo to zamienia się w klaskanie słowika, w wiosenną jutrzenkę i w uśmiech dziecka. Nazywa się Stazyjka. Królewicz wysłuchał tego wszystkiego w milczeniu, lecz kręcił głową niedowierzająco.

— Czemu kręcisz głową, królewiczu? — zapytał astrolog.

— Bo nie dowierzam!

— Dlaczego?

— Ponieważ tak samo wychwalałeś mi tamte księżniczki.

— Za przeproszeniem — przerwał mu astrolog. — Mogę cię przekonać, królewiczu, że teraz mówię prawdę.

— Przekonaj!

Wtedy astrolog sięgnął do głębokiej kieszeni w swym pstrokatym płaszczu i wydobył lusterko. Chuchnął nań trzykrotnie, coś zamamrotał, wyrzekł jakieś zaklęcie i pokazał je królewiczowi i wszystkim zebranim.

Wtedy dworzanie z królem Szłapetą III na czele osłupieli ze zdumienia. A gdy osłupienie minęło, zaczęli cmokać i kiwać głowami, i pociągać nosami ze wzruszenia, bo jak świat światem jeszcze nigdy nie widzieli tak ślicznej dziewczyny. I wszystkim się zdawało, że widzą jutrzenkę na niebie, że słyszą śpiew słowika, że zapachniało trzysta dwadzieścia pięć lilii i że otworzyło się niebo przed nimi. I jeszcze im się to zdawało, że ich serca zamieniły się w beczki pełne najśłodszeogo miodu.

A królewicz Janek?

Ha, gdy ujrzał w lustrze Stazyjkę, aż dech zaparło mu z zachwyty, w oczach rozjarzyło się jakby ogromne słońce, że je musiał zakryć dłonią, a serce zatańczyło mu w piersi z radości i wzruszenia, jakby było pijane.

— Idę szukać Stazyjki! — postanowił. I już o nic więcej nie pytał, tylko wdział na siebie złoconą zbroję, włożył na głowę złoty hełm ze strusimi piórami, dosiadł czarnego rumaka, lewą ręką ujął tarczę nabijaną drogimi kamieniami, prawą srogą kopię i ruszył w świat na poszukiwanie Stazyjki.

Jechał, jechał i jechał, już minął trzecią rzekę i trzecią górę, potem czwartą rzekę i czwartą górę, potem już dojeżdżał do dziewiątej rzeki i dziewiątej góry i próżno

szukał Stazyjki, i próżno się o nią dopytywał.

Dopiero gdy przepłynął na swym rumaku dziewiątą rzekę i przeszedł dziewiątą górę, ujrzał przed sobą wielką dolinę. Jechał najpierw przez gęsty las, a gdy już las się przerzedzał, spotkał pustelnika z długą, białą brodą. Przenocował w jego ubożuchnej pustelni, jako że był już bardzo zmęczony, a wczesnym rankiem osiodłał swego rumaka, wdział na siebie złoconą zbroję, włożył na głowę złoty hełm z pękiem strusich piór i już chciał ruszyć w dalszą drogę, gdy wyszedł pustelnik i tak mu rzekł:

— Wiem wszystko o tobie, królewiczu, bo mi o tym ptaki doniosły... A raczej tylko sroki, bo to są wielkie plotkarki. Dlatego nie pytałem ciebie o nic. Wiem, że szukasz przesłicznej dziewicy imieniem Stazyjka. Być może, że ją u nas znajdziesz. Tu dziewczyny mają takie imiona, jak Gustla, Hanka, Jadwiżka, może znajdzie się i Stazyjka. Gdybyś zatrzymał się u mnie jeszcze przez jeden dzień, wiedziałbym, czy Stazyjka jest w naszej krainie.

— Skąd, nabożny pustelniku, mógłbyś się dowiedzieć?

— Posłałbym sroki na zwiady i do wieczora wróciłyby z wiadomością.

— Ha, jeżeli byłbyś tak dobry, przeznacny pustelniku, to zaczekam do jutra. A jeżeliby twoje sroki przyniosły wieść o Stazyjce, obsypałbym cię złotem!

— Niepotrzebne mi twoje złoto, królewiczu! Ja to czynię tylko dlatego, bo pragnąłbym ci nieba przychylić!

— Dlaczego? — zdumiał się królewicz.

— Bo moje sroki już dawno mi doniosły, że masz dobre, ludzkie serce!

— Nic nie wiem o tym! — zdumiał się królewicz jeszcze bardziej.

— Nie szkodzi!

Królewicz zdjął więc z siebie zbroję, zdjął z głowy hełm, odłożył tarczę i kopię i poszedł na wielką polanę, by paść swego czarnego rumaka. A był ogromnie ciekawy, czy sroki przyniosą wieść o przesłicznej dziewicy, która ma na imię Stazyjka.

Gdy pod wieczór wrócił z rumakiem do pustelnika, zastał go siedzącego pod kwitnącą lipą, na której wrzeszczały sroki. Może ich było sto dwadzieścia, a może więcej.

Czyniły taki hałas, szwargot i piekło, że zdawałoby się, zeszyły się wszystkie plotkarki z całej krainy i, podobne do tej rozgadanej szóstej księżniczki z państwa króla Szłapety III, gadają i gadają jedna przez drugą. Aż dziw, że świątobliwy pustelnik nie wyskoczył ze skóry. Ale on tylko gładził brodę i słuchał plotek regimentu srok.

Sroki zaś gadały jedna przez drugą, ale gadały! A że to i tamto, że to ogromnie daleko, że na drodze czai się bardzo szpetny smok, a że w lesie siedzi dwunastu zbójników ze srogimi pałkami, którzy zgrzytają zębami, ostrzą noże i patrzą, kogo by tu napaść, a że trzeba przepłynąć wielkie morze, lecz w tym morzu jest pękaty wieloryb, ten sam, który połknął biblijnego Jonasza, a potem go wypluł, i że ten wieloryb czyha na śmiałka, który by się odważył przepłynąć owo morze. Dużo tego nagadały!

Janek nie rozumiał ich sroczego języka, lecz pustelnik wszystko mu ładnie przetłumaczył na ludzką mowę. Inny na miejscu Janka czułby, że mu skóra cierpnie, słysząc takie ponure rzeczy. Janek jednak nie lękał się ani smoka, ani dwunastu zbójców, ani wieloryba, który kiedyś Jonasza połknął, a potem go wypluł.

Lecz to jeszcze nie wszystko.

Bo gdy jedne sroki skończyły skrzeczeć o tamtych niebezpieczeństwach i zasadzkach dybiących na wędrowca, inne zaczęły opowiadać jedna przez drugą, że są dwie siostry. Ta starsza jest bardzo zła i ponura i nazywa się Placyda. A ta druga jest jasna, ma niebieskie oczy i złote serce i nazywa się Stazyjka. I że ta Placyda wymyśla Stazyjce od zielonej małpy i obiecuje jej oczy wydrapać, Stazyjka zaś uśmiecha się i na każde złe słowo Placydy odpowiada dobrym słowem i uśmiechem. I że obie mieszkają w mizernej chałupinie pod lasem.

— W mizernej chałupinie? — zdumiał się królewicz, gdy pustelnik przetłumaczył mu

skrzeczenie srok. — A ja myślałem, że w pałacu królewskim lub w jakimś rycerskim zamku.

Pustelnik nic nie rzekł, tylko uśmiechnął się mądrze i dalej słuchał plotek reszty srok. One zaś kiwały głowami, trzepotały skrzydłami, potrząsały ogonkami i gadały, ale gadały, jedna przez drugą. A więc, że matka Stazyjki i Placydy jest wdową i bardzo kocha obie swe córki. A gdy Placyda idzie przez las ponura jak noc i zła jak osa, wtedy wszystkie ptaki milkną, a gdy idzie przez łąkę, wszystkie kwiaty mdleją i więdną. Gdy zaś Stazyjka idzie przez las, wszystkie ptaki zanoszą się śpiewem, na niebie rozpina się tęcza, a gdy idzie przez łąkę, wszystkie kwiaty zaczynają tak pięknie pachnąć, że aż w nosie wierci. A gdy się Stazyjka uśmiechnie, niebo się otwiera...

Dużo tego nagadały i byłyby jeszcze gadały nie wiedzieć jak długo, lecz pustelnik powiedział, że dosyć na dzisiaj, że to wystarczy, niechaj już nie skrzeczą, bo mu uszy spuchną.

— Ale sroki nie powiedziały, którędy mam iść, czy do wschodu słońca, czy do zachodu, czy w tym kierunku, gdzie słońce jest najwyżej na niebie, czy w przeciwnym... — zakłopotał się Janek.

Pustelnik pogadał więc jeszcze ze srokami i ta najstarsza i najmądrzejsza z nich rzekła, że trzeba iść prosto za nosem.

I dobrze.

Nazajutrz królewicz Janek włożył na siebie złoconą zbroję, włożył na głowę złoty hełm z pękiem strusich piór, ujął tarczę nabijaną brylantami, ujął kopię i już chciał ruszyć prosto za nosem, jak mu poradziła najstarsza sroka, lecz pustelnik zatrzymał go jeszcze i tak powiedział:

— Królewiczu Janku! Gdy spotkasz smoka, rzeknij mu, że szukasz w dalekim świecie Stazyjki. I gdy spotkasz zbójników, powiedz im, że szukasz Stazyjki. A gdy staniesz nad morzem i ujrzysz podpływającego wieloryba, powiedz mu to samo, co rzekniesz smokowi i zbójnikom... I wszystko będzie dobrze! Tylko strzeż się zdrady!...

Janek podziękował pustelnikowi za radę i pojechał prosto za nosem. Jechał, jechał, jechał przez cały miesiąc, aż wreszcie dotarł między okrutne skały, na bezdroża i wertepy. Pomyślał przeto, że znalazł się w królestwie smoka. I dobrze pomyślał, bo gdy minął jedną ze skał, ujrzał szeroką, kamienistą dolinę, a w dolinie smoka wygrzewającego się w słońcu. Szpetny, wielce szpetny był ten smok. Ogromny łeb ropuchy, wyłupiaste, zielone oczy, skrzydliśka nietoperzowe, długi ogon, cztery kacze łapy, cielsko okryte rogową łuską, długi, rozwidlony język, słowem, straszycło na wróble, a nie smok.

Janek widział już dużo smoków, lecz takiego brzydala jeszcze nie widział. Brzydala zaś, ledwie spostrzegł ślicznego rycerza na czarnym koniu, kłapnął raz i drugi paszczką, zasmrodził siarkowym dymem, podniósł ropuszy łeb i zaskrzypiał:

Ha, rycerzyk jedzie! Zjem cię na śniadanie, bom strasznie głodny!...

— Nie zjesz, smoku, bo jadę Stazyjki szukać w świecie! — rzekł mu na to Janek.

— Kogo, powiadasz? Mów głośniej, bo nie dosłyszę! Ze mną trzeba głośno rozmawiać! Oto tak! — i ryknął tak głośno, że ziemia się zatrzęsała, a skały jęły się kruszyć.

— Jadę szukać Stazyjki! — zawołał teraz Janek bardzo głośno.

Smok włożył przednią swą kaczą łapę do ucha, pokręcił nią, potrząsał w uchu i znowu ryknął:

— Kogo jedziesz szukać? Bo nie dosłyszałem. Jedziesz szukać Kurzejki? Nie znam żadnego Kurzejki!

— Stazyjki, nie Kurzejki!

— Aha, Stazyjki! Czy tej, która tu przychodzi, żeby szukać pcheł na moim grzbiecie?

— ryczał brzydala.

— Nie wiem, panie smoku, czy Stazyjka, której szukam, wybiera pchły z twojego

grzbietu. Wiem tylko tyle, że to najpiękniejsza dziewczina na całym świecie, że mieszka pod lasem w mizernej chałupinie, że ma siostrę...

— Placydę! — podrzucił mu smok i kłapał kilka razy paszczką. — Nie wspominaj mi jej imienia, bo gdy je słyszę, mam ochotę cię pożreć! Mów mi raczej o Stazyjce! A już, bo jak nie, to cię zjem!

— Hola, mości smoku! — krzyknął Janek smokowi do ucha. -- Prędeż diabła byś zjadł anizeli mnie! Jestem porządnym człowiekiem, nikogo nie zaczepiam, pustelnik powiedział, że mam dobre serce, lecz jeżeli chcesz, to mogę zrobić ci dziurę w brzuchu tą oto kopią!

— Panie rycerzu! — zagrział wystraszony smok. — Widzę, nie znasz się na żartach! Ja tylko żartowałem! Gdzież ja bym cię zjadł! Mnie wystarczą na śniadanie trzy muchy, na obiad piętnaście trzmieli, a na wieczerzę dwa komary! Ja nie jestem znowu taki, jak te inne smoki! Nie rób mi więc dziury w brzuchu, a mów raczej o Stazyjce! Czy to ta, która ma niebieskie oczy i która wybiera pchły z mego grzbietu?

— Nie wiem, mości smoku — trąbił mu Janek do ucha — czy to ta sama Stazyjka, lecz wiem, że ma istotnie niebieskie oczy, że jest podobna do najbielszej lilii, do najpiękniejszej tęczy i do wiosennej zorzy, że gdy się uśmiechnie, to niebo się otwiera, a gdy roześmieje się głośno...

— To jest ta sama Stazyjka! — ryknął uradowany smok. — To ona wybiera pchły z mojego grzbietu, a jej siostra, Placyda, żeby diabła zjadła, tłucze mnie kijem po głowie i wymyśla mi od zielonych małp! A ja nie jestem wcale zieloną małpą, lecz bardzo porządnym smokiem, jakiego jeszcze świat nie widział! Ale o czym ja to chciałem mówić?

— Nie wiem, mości smoku, o czym chciałeś mówić!

Smok podrapał się przednią kaczą łapą po łbie, podrapał się tylną kaczą łapą po ogonie i wrzasnął:

— Już wiem! Ty chcesz się ożenić ze Stazyjką! To idź, a żeń się z nią. No, idź już, idź, królewiczu, bo jestem strasznie głodny i lękam się, że mogę cię pożreć! A pozdrów mi pięknie Stazyjkę, a jej siostrze, Placydzie, powiedz, że ją pozdrawiam przez kupę kamieni i żeby ją wszyscy diabli wzięli. A strzeż się Placydy i zdrady!...

To rzekłszy, przewrócił się na grzbiet i zaczął wygrzewać się w słońcu, a Janek wsiał na rumaka i pojechał w świat szukać Stazyjki.

Jechał prosto za nosem, aż przyjechał do ogromnego lasu. Pomyślał, że w tym lesie z pewnością czatują zbójnicy. I ledwie to pomyślał, a tu z krzaków wyskakuje dwunastu zbójników.

Zaczęli wrzeszczeć, wywijać pałkami, zgrzytać zębami, brzydycy, kostropaci na gębach, kudłaci, z pijackimi nochalami, zezowaci, szczerbaci, podobni do czupiradeł.

— Pieniędzy! — wrzeszczeli wszyscy i wielką kupą biegli do Janka.

Janek trochę zdziwił się, bo aczkolwiek z gąb byli podobni do cudaków, jednakże marynarki i spodnie mieli pięknie połatane, nie brakowało przy nich ani jednego guzika, koszule były białe i wyprasowane, a najstarszy zbójnik miał nawet zawiązany krawat pod szyją i mankiety u rękawów koszuli.

Zbójnik z krawatem już przyskoczył i już wzniosł pałkę, lecz Janek przyłożył mu kopię do brzucha i rzekł spokojnie:

— Zrobię ci dziurę w brzuchu!

Ta zapowiedź umitygowała zbójnika w krawacie. A ponieważ był to herszt, zawołał na swoich kudłatych kamratów:

— Halt, kamraci! Bo nie chcę mieć dziurawego brzucha!

Przestali przeto wrzeszczeć o pieniądzach i przestali wywijać pałkami, bo byli ciekawi, czy ten rycerz zrobi hersztowi dziurę w brzuchu, czy nie zrobi.

— Przepraszam, panie rycerzu, żeśmy cię nastraszyli! — zaczął teraz herszt

przypochlebnym głosem. — Lecz myśmy myśleli, że to Placyda jedzie na koniu w rycerskiej zbroi!

— Jaka Placyda? — zapytał Janek, lecz dla pewności wciąż mierzył kopią w jego brzuch.

— Siostra Stazyjki, z piekła rodem! Diablica, nie dziewczyna! Żeby regiment diabłów zjadła! Żeby ją kaczkę poszczypały! Żeby ją gęś kopła tylną nogą! Żeby... ja już nie wiem co! Pomóżcie mi wymyślać, kamraci — zwrócił się do zbójników.

Zaczęli przeto pomagać swemu hersztowi i wymyślać bardzo szpetnie Placydzie.

Życzyli jej, by się udławiła ciepłym ziemniakiem podczas obiadu, żeby się napiła wody z głowaczami i by potem w jej brzuchu rechotały żaby, żeby jej język skołowaciał, żeby powiedziała hop! — zanim rów przeskoczy, i by nogę złamała... Na wołowej skórze człek by nie spisał tych zbójnickich życzeń i wymyślań.

Ubawiło to wielce królewicza Janka, lecz nie odsuwał kopii od brzucha herszta w krawacie i mankietach. Diabeł bowiem nie śpi! Odsunie kopię, a wtedy herszt gotów zdzielić go pałką po złotym hełmie!

— Przepraszamy, wielmożny rycerzu, bardzo przepraszamy, a dokąd jedziesz, jeżeli wolno zapytać? — podjął teraz herszt dwornie i poprawił przekrzywiony krawat pod brodą.

Janek dostrzegł wtedy wyhaftowane na nim złotą nitką imię. Nachylił się przeto i przeczytał zdumiony: „Stazyjka”.

— Od kogo masz ten krawat? — zapytał.

— Od Stazyjki, panie rycerzu! — rzekł herszt. I gdy tylko wypowiedział to imię, gęby zbójników w tym oka mgnieniu rozanieliły się, wszyscy zaczęli cmokać, przewracać oczami z zachwytu, pałki wypadły im z dłoni, a herszt zaczął wzdychać i pociągać nosem ze wzruszenia, łzy zaś ciurkiem puściły mu się z oczu.

— Czy się Stazyjka w tobie kocha? — zapytał znowu Janek herszta.

— Nie, wielmożny panie rycerzu! To my wszyscy kochamy się w niej, a najbardziej ja się w niej Kocham!

— To wy ją znacie? — dziwił się Janek coraz bardziej.

— Kto by jej nie znał? — wrzasnął zachwycony herszt, a jego kamraci jęli przytakiwać i szczerzyć zęby w anielskim uśmiechu. — Kto by jej nie znał? — powtórzył z uniesieniem.

— Wszyscy ją znamy! To najpiękniejsza dziewczyna z całego świata! Jej oczy to kawałki nieba.

Jej głos to najpiękniejsza melodia katarynkowa. My tu mamy taką katarynkę, to wiemy! Gdy się uśmiechnie, to jakbym beczkę wina wytrąbił za jednym zamachem, i to nie byle jakiego wina! A gdy się roześmieje, to jakby tysiąc złociutkich dukatów sypało się do naszej dziurawej kalety zbójnickiej. A gdy przejdzie koło nas, to jakby najpiękniejszy anioł przeszedł z kadzielnicą i owionął nas pachnącym dymem. Wtedy wszyscy kichamy, a Stazyjka śmieje się i woła: „Na zdrowie, kochani zbójnicy! A macie koszule brudne? A macie podarte spodnie? A macie oberwane guziki u marynarek? Dawać je prędko!” I wtedy pierze nasze koszule, przyszywa guziki do naszych marynarek, łąta nam podarte spodnie, każe nam się myć w potoku, szoruje nasze łby ryżową szczotką i piaskiem, że potem wyglądamy jak wielcy panowie wybierający się na dworski bal... I nie wolno nam bardzo kłać i zamiast „pierona jasnego”, to nam wolno powiedzieć jedynie: „faroną jasnego!” I powiada, że jeżeli ją naprawdę kochamy, to powinniśmy wszyscy pójść do klasztoru i klepać pacierze.

Janek słuchał i w duchu śmiał się serdecznie.

— I co, panowie zbójnicy? Pójdziecie do tego klasztoru klepać pacierze? — zapytał ubawiony.

— Jużemy poszli całą bandą — wyjaśnił herszt — lecz zakonnicy braciszczkowie wygonili

nas wielkim krzykiem, sam przeor wylał na nas wiadro święconej wody, a ten braciszek, który bramę otwiera, zdzielił mnie po łbie dużym kluczem od bramy, że mi zaraz taki guz urósł, jak strusie jajko. Potem przeor wylał na wieżę i krzyczał za nami, że nie ma głupich, by wpuszczać do klasztoru taką hałastrę, która by w mig wy trąbiła wszystko wino z beczek w piwnicy. No, może miał poniekąd słuszość. Więc my wzięliśmy i wróciliśmy do lasu... No i jesteśmy znów w lesie!

— A dlaczego nie lubicie Placydy? — zapytał znowu Janek.

Gdy wypowiedział to imię, w tym oka mgnieniu gęby zbójników skrzywiły się, jakby każdy napił się octu siedmiu złodziei lub rozgryzł ziarnko gorczycy.

— Dlaczego nie lubimy tej czarownicy? — podjął za wszystkich herszt w krawacie. — A to dlatego, wielmożny panie rycerzu, bo ona kuma się z diabłami, umie czarować, każe mrówkom wlać do naszych legowisk i wtedy mrówki nas gryzą, zamienia nam wino w zwykłą wodę, smakowitą pieczeń zdjętą z różna przemienia w upieczoną ropuchę, a chleb w kamień! Straszne rzeczy, powiadam wielmożnemu panu rycerzowi!

— A czemu wam czyni takie psoty?

— Wielmożny panie rycerzu! My nie wiemy! Ona w ogóle czyni ludziom psoty. Przemienia się w topielicę i wciąga kąpiących się pod wodę. Przemienia się w błędny ogień i chłopów, wracających po nocy z karczmy, wodzi po bagnach, krzakach i zapadliskach. Mało!

Przemienia w strzygę i strzyżę ubrania dziewczynom i chłopcom, idącym z tanecznej zabawy nad ranem. Powiadają nawet, że jest zmorą, wlać do chałup przez dziurkę od klucza i dławi śpiących domowników... W ogóle szkoda mówić! Nam jednak nie czyni już tej paskudy, bo każdy z nas nosi przy sobie takie ziele, które nazywa się tulia i strzeże przed jej złymi czarami.

— Aha...

— A dokąd wielmożny pan rycerz wybiera się, jeżeli wolno wiedzieć? — zapytał dwornie herszt i znowu poprawił krawat.

— Jadę szukać Stazyjki!

— O, jерum pajtasz! — wrzaśli wszyscy zbójnicy i ogromnie się uradowali.

— Przecież już wam raz o tym mówiłem!

— Nic nam nie mówiliście, panie rycerzu!

— Nie szkodzi! To wam teraz mówię!

— Już wiem! — wrzasnął herszt. W ogóle tylko herszt mówił z Jankiem, reszta zbójników słuchała i rozdziawiała gęby. Poza tym wzdychała, pociągała nosami, a gdy była mowa o Placydzie, zgrzytała zębami i kłęła: „faroną jasnego...” — Już wiem! powtórzył herszt. — To wy, panie rycerzu, chcecie się ożenić ze Stazyjką! To dobrze! Idźcie więc i żeńcie się z nią i pozdrówcie ją pięknie ode mnie, to znaczy od herszta Kręcichwosta i jego kamratów, a gdy będzie wesele, przyjdziemy jako jej gwardia, a Placydę utopimy w beczce po kapuście! A pilnujcie się, bo Placyda może wam bruździć, i strzeżcie się zdrady!...

Po takiej miłej rozmowie królewicz Janek pożegnał się ze zbójnikami i pojechał w świat prosto za nosem, by odszukać Stazyjkę.

Jechał więc i jechał, aż dojechał do brzegu ogromnego morza. A po drodze spostrzegł gromady srok, latających tam i z powrotem. Coś wrzeszczały i skrzeczały nad nim, lecz Janek nie rozumiał ich sroczej mowy.

Stanął na brzegu morza strapiiony, jak tu dostać się na jego drugi brzeg, aże jak! I ledwie tak pomyślał, woda w morzu zbałwaniała się bardzo, a z bałwanów wynurzył się wielki, brzuchaty wieloryb. Podpłynął do brzegu, rozdziawił szeroko paszczę i zamruczał:

— Chodźże, kochasiu, chodź! Zjem cię na obiad, bo jestem strasznie głodny.

A Janek zapytał spokojnie.

— Bardzo cię przepraszam, panie wielorybie, czy to ty jesteś ten, który ongiś połknął świętego Jonasza, a potem go po trzech dniach wypluł?

— Po pierwsze, to nie był święty Janasz, lecz całkiem zwyczajny Janasz, a po drugie, siedział mi w brzuchu nie przez trzy dni, lecz przez trzy dni i kawałek następnego dnia, a wyplułem go dlatego, bo strasznie wiercił się i rozpychał łokciami. Ale jeżeli ciebie połknę, to już wcale cię nie wypluję! Będziesz siedział w moim brzuchu aż do sądnego dnia! No, złaż z konia i wlaż do morza!...

— Jeszcze chwileczkę, panie wielorybie! Czy ty znasz najpiękniejszą dziewczinę na świecie, Stazyjkę o niebieskich oczach!?

— Kogo, powiadasz? Nie dosłyszałem, bo morze szumi...

— Stazyjkę!

— O święty wielorybie, władco wszystkich wielorybów! Dyć znam! Przecież to ona uratowała mi życie! — wrzeszczał rozanielony wieloryb, walił z uciechy ogonem i wypuścił wysoką strugę wody z nozdrzy. Ta struga wody była podobna do wodotrysku w zamkowym ogrodzie króla Szłapety III.

— A jak ci uratowała życie?

— Rycerzu, chociaż cię zjem, ale ci opowiem! Otóż to było tak: Placyda złapała mnie na wielką wędkę. To nie była wędka, lecz sroga węda. Wiem, o co jej chodziło. Chciała mnie zasolic w becze jak śledzia. Niechby ją rekin pożarł!... Ja urwałem się, uciekłem, lecz wędka utkwiała mi w gardle i byłbym skonał z głodu, bo nie mogłem przełknąć najmniejszej rybki, ale na szczęście nadeszła Stazyjka, wydobyła mi wędę z gardła i już było wszystko dobrze... A dlaczego, rycerzu, pytasz o nią?

— Szukam Stazyjki, by prosić o jej rękę!

— O święty wielorybie! O jej rękę? Czemuś mi tego zaraz nie powiedział? Już się robi! Dla Stazyjki wszystko uczynię. Siadaj, rycerzu, wraz z koniem na mój grzbiet, a ja przepłynę z tobą i twoim koniem na drugi brzeg. Stamtąd już blisko do Stazyjki! Siadaj, siadaj!

Uradowany Janek wraz z koniem usiedli okrakiem na grzbiecie wieloryba, a wieloryb pożeglował z nimi na drugi brzeg morza.

Żeglował i żeglował, płynął i płynął, a mijające ich statki przystawały; a znad burty wychylali się zdumieni majtkowie. Oto płynie ogromny wieloryb, chyba król wielorybów, na jego grzbiecie siedzi okrakiem rycerz w złocistej zbroi, w złotym hełmie zdobionym pękiem strusich piór, a za nim siedzi okrakiem czarny rumak. Kiż diasi?... Jak świat światem a morze morzem, nikt z majtków nie widział czegoś podobnego. Nawet starzy kapitanowie z siwymi bokobrodami, przewani wilkami morskimi — spotykający w swych wędrówkach po dalekich morzach przedziwne stwory, morskie panny, czyli syreny, nimfy, potwory wielogłowe i jeszcze inne cudaki — teraz drapali się po łysinach i kiwali głowami na widok wieloryba z rycerzem i czarnym koniem na grzbiecie.

A wieloryb nic! Machał płetwami jak ogromnymi wiosłami, machał ogonem jak ogromnym sterem, wytryskiwał z nozdrzy w górę wysoki słup wody, co było podobne do wodotrysku w królewskim ogrodzie Szłapety III, i płynął. Aż w końcu dopłynął do brzegu i tak rzekł:

— Alem się zmachał, jerum pajtasz! Teraz już jesteś, rycerzu, niedaleko domku Stazyjki, najpiękniejszej dziewczicy z całego świata. Oby śledzie wchodziły jej same do ręki, rekiny omijały ją wielkim kołem, a meduzy nie parzyły, gdy będzie kąpała się w morzu! Jedź teraz, rycerzu, prosto za nosem. Widzisz, tam gdzie na horyzoncie zaczyna się wielki las, w dużym ogrodzie znajdziesz domek Stazyjki. Powiedz jej, że ja, wieloryb, pięknie ją pozdrawiam, a jej siostrze powiedz, żeby ją wszyscy diabli do piekła porwali! Ta siostra nazywa się, pfuj! — aż obrzydzenie bierze, gdy jej imię

wypowiadam! Nazywa się, pfuj... Nazywa się Placyda.

No, złaż, rycerzu, i sprowadź swego konia z mojego grzbietu, a uważaj, by koń nie porysował mi kopytami skóry i byś ty nie podrapał jej ostrogami! Już zląłeś? No, to bywaj zdrów, a nie zapomnij pozdrowić ode mnie Stazyjki przez pachnącą różę i powiedz, że jej zawsze służę!... A strzeż się zdrady — zawołał jeszcze i zanurzył się w morzu.

Janek przez cały czas milczał, tylko dziwił się, że ten wieloryb taki ogromny gaduła. Gada i gada, i nie pozwoli człowiekowi dojść do słowa. Ale poza tym całkiem z niego porządny wieloryb, nie można nic złego o nim powiedzieć.

Oporządził się na brzegu, wsiadł na konia i ruszył prosto za nosem w kierunku lasu, gdzie na skraju bielila się chałupka matki Stazyjki i jej ponurej złej siostry, Placydy, i gdzie czerwieniły się malwy, żółciły dziewanny, a w oknie wdzięczyły się ułanki, czyli fuksje. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego taka chmura srok kołuje nad nim i wrzeszczy, jakby je ktoś z pierza obskubywał. Widać, chciały mu coś powiedzieć, lecz niestety królewicz Janek, chociaż dużo wiedział i umiał, nie rozumiał sroczego języka. Przypuszczał jednak, że pragną go przed czymś ostrzec.

I dobrze.

Jedzie więc i jedzie, i dziwi się coraz bardziej. Oto całe regimenty srok kołują nad jego głową i wrzeszczą jak opętane. A równocześnie drogą idzie jakby procesja czy coś podobnego, a przed procesją kapela gra oberka, na przedzie zaś płąsa tanecznym krokiem kruczowłosa dziewczyna z wiankiem na głowie, z papierową lilią w dłoni, w długiej białej sukni, wymalowana i śpiewa zachrypłym głosem:

Jedzie już mój miły z dalekiego świata,
Czekałam na niego przez długie dwa lata.
Czekałam, tęskniłam, oczy wypatrzyłam,
Kołaczy napięłam, wina utoczyłam!

O, hej!...

Pełniuteńki dzbanek utoczyłam wina,
Upiekłam kołaczy chyba z pół tuzina.
Na głowę włożyłam najpiękniejszy wianek,
Niechaj się ucieszy mój królewicz Janek.

O, hej!...

„Kiż diasi?" — pomyślał Janek i patrzy, gdyż nie może nic zrozumieć. Zamiast jasnowłosej i błękitnookiej Stazyjki widzi czarnowłosą i ciemnooką dziewczynę, wyśpiewującą coś o kołaczach i winie. Czyżby to była Placyda?

Podjechał bliżej, zatrzymał konia, procesja stanęła, kapela przestała grać, a tamta dziewczyna podbiegła, podskoczyła, objęła Janka i zaczęła całować. Janek osłupiał ze zdumienia. Co to, u licha, znaczy? Odepchnął dziewczynę i zapytał szorstko:

— Kto ty jesteś?

— Jestem Placyda, mój najdroższy królewiczu! Sroki już mi dawno doniosły, że jedziesz do mnie, by mnie pojąć za żonę. Więc teraz cię witam jako swego narzeczonego i przyszłego małżonka! Bo ja strasznie pragnę być królową, siedzieć na złotym tronie, wylegiwać się na stu pierzynach, jadać marcypany, zapijać je słodkim winem i królować z tobą, mój przekrasny królewiczu, aż na wieki wieków amen! Tylko najpierw musimy twego ojca, Szłapetę III, otruć czymkolwiek. Najlepiej muchomorami!... Otrujemy go oboje i królestwo będzie moje i twoje, i będziemy panowali...

— Przepraszam, mościa panno — przerwał jej nachmurzony Janek. — Powstrzymaj potok swej niemądrej wymowy, a pozwól mi przyjść do słowa. Przecież ja przyjechałem nie po ciebie, lecz po twoją siostrę Stazyjkę...

— Stazyjkę! Hi, hi, hi! Daj się, królewiczu, wypchać Stazyjką! Stazyjki nie ma! Już od

dawna jej nie ma!...

— A gdzie jest?

— Nie wiem! Może ją zbójnicy porwali, może ją wieloryb połknął, może ją smok pożarł! Licho wie, gdzie się podziewa! Nie ma jej i tyle. Ale niewielka strata! Nicpoń był z niej, latawica, wietrznica! Poszła w las i przepadła!

— Nie może być! — przeraził się Janek.

— Co znaczy, „nie może być”? Wszystko może być! Nie ma jej i skończone. Dziury w niebie nie będzie, że jej nie ma. Za to jestem ja, twoja tęskniąca za tobą Placyda. Powiedz, królewiczu, czy jeszcze dzisiaj pojedziemy do królestwa tego starego dziada... Chciałam powiedzieć, do królestwa twojego ojca?

Janek ściągnął brwi, nachmurzył się i zapytał ponurym głosem:

— Gdzie matka?

— Siedzi w komorze i płacze. Taka głupia, stara baba! O Stazyjkę płacze! A przecież nie ma o co płakać! No nie, królewiczu? — usiłowała zaszczebiotać, lecz jej szczebiot był podobny do skrzywienia zardzewiałych zawiasów, a jej uśmiech nie różnił się wcale od grymasu człowieka, którego bolą zęby.

— Jadę do twojej matki!

— Weź mnie także na twego konia, królewiczu! Przecież gdy stanę się królową, to będę po całych dniach na koniu hasać! Sprowadzisz mi sto koni, a ja będę je zajeżdżała na śmierć! — zachichotała ponuro. Potem, nie czekając jego przyzwolenia, wdrapała się na konia.

Ledwie jednak usiadła za Jankiem, rumak wierzgnął tak mocno, że wyleciała jak z procy i spadła w pokrzywy. Wtedy tamto zbiegowisko, które szło za nią, i muzykanci, którzy grali oberka po drodze, a teraz wytrzeszczyli oczy, wrzasnęli uradowani :

— Dobrze jej tak! Dobrze jej tak, czarownicy! Powiedziała nam, że będzie królową, że da nam po dukacie, jeżeli pójdziemy za nią na przywitanie jej królewskiego oblubieńca, a teraz widzimy, że to wierutne łgarstwo! Dobrze jej tak, czarownicy!

Pokrzykiwali więc i wygrażali Placydzie, gramolącej się w pokrzywach, lecz Janek już nie zważał na nic, tylko bódł rumaka ostrogami i pędził w kierunku chałupki matki.

Zapukał do okienka komory, które otworzyło się, i Janek ujrzał w nim płaczącą matkę.

— Gdzie jest Stazyjka, pani matko? — zapytał, a serce jego coraz bardziej ścisnęło się z żalu na myśl, że Stazyjki istotnie nie ma!

Matka zaczęła opowiadać, a każde jej słowo było przegradzane łzami. Oto tak się stało, że gdy sroki nadleciały z wieścią... Usiadły na kalenicy i paplały, jako sroki. Gdy więc sroki nadleciały i jęły plotkować, że złotowłosey królewicz z dalekiego kraju jest w drodze, by prosić matkę o rękę Stazyjki, Placyda namówiła siostrę, by poszła z nią do lasu na maliny. Każda wzięła dzbanek i poszły. A pod wieczór wróciła sama Placyda. „Gdzie pozostawiłaś Stazyjkę?” — zapytała wtedy matka. Placyda rzekła, że cóż ją obchodzi Stazyjka, że nie jest jej stróżem, że z pewnością włóczy się jeszcze po lesie, jako wietrznica. A może poszła wybierać pchły smokowi? A może poszła pracować koszuł i łątać spodnie zbójnikom i przyszywać im guziki do marynarek? Zresztą diabli wiedzą, gdzie się podziała!... Królewicz Janek teraz już wszystko zrozumiał. To Placyda usunęła z drogi Stazyjkę. Może ją zabiła, a może zaczarowała? Uczyliła to z pewnością, gdyż pozazdrościła Stazyjce, że królewicz ma zamiar prosić matkę o jej rękę. I teraz pojął, dlaczego sroki tak bardzo kołowały nad nim i coś krzyczały! Ostrzegały go przed złą siostrą Placyda i oznajmiały, że Stazyjki nie ma...

Nie ma Stazyjki! Nie ma Stazyjki!...

Pociemniało mu w oczach z okrutnej żalości, serce boleśnie się skurczyło, słońce zakryły czarne obłoki, ptaki zaniemówiły, kwiaty powiędły, a wiatr, któremu ogromnie śpieszyło się na skraj świata, znieruchomiał i jął wzdychać cichutko i żałośnie na jabłoni.

Janek złamał kopię i rzucił na drogę, połamał tarczę i rzucił na drogę, ściągnął złocisty pancerz i zawiesił go na suchej wierzbie, zerwał strusi pióropusz z hełmu i podeptał, a zostawił jedynie hełm na głowie, z opuszczoną przyłbicą, by nikt nie widział, że płacze. Potem wsiadł na rumaka i tak mu powiedział:

— Jedź, mój rumaku, dokąd cię oczy poniosą! Mnie już nic nie cieszy, gwiazdy na niebie dla mnie zgasły, słońce spopielzło, księżyc zardzewiał, a jam złamany na duchu... Jedź więc, jedź, a łzy wyciekają spod przyłbicy i kapią na końską grzywę. I gdy tak jedzie zdany na wolę rumaka, wjechał w gęsty las. A koło drogi rosły kaliny. Zaszedł mu drogę stary drwal z siekierą na ramieniu. Drwal miał długą, czarną brodę i był trochę podobny do zbójnika.

— Dokąd jedziesz, młodzieńcze? — zapytał.

Janek podniósł przyłbicę i drwal teraz dopiero spostrzegł, że z oczu Janka ciekną łzy.

— Czemu płaczesz, młodzieńcze? — zapytał znowu drwal tknięty litością.

Janek wszystko mu opowiedział. Od początku do końca. Drwal słuchał, coś mrucał i gaskał czarną brodę. A gdy Janek skończył i znowu jął wycierać łzy z oczu kułakiem, drwal poklepał go po ramieniu i tak mu powiedział:

— Nie becz, bo to nie przystoi mężczyźnie. Stazyjka żyje, wiem dobrze, tylko że tamta czarownica Placyda rzuciła na nią urok, rzuciła zaklęcie i zamieniła ją... Tylko że nie wiem, w co ją zamieniła. Lecz nie martw się, bo wszystko będzie dobrze...

— Dobrze będzie? — zapytał Janek, a nieśmiało uradowanie zakiełkowało w jego złamanym sercu.

— Jako powiadam. Wszystko będzie dobrze! A teraz chodź ze mną do lasu, pomożesz mi drzewa ścinać.

— Ja, królewicz? Drzewa ścinać? — zachnął się Janek.

— No, wielkie rzeczy! Przecież korona ci z głowy nie spadnie! Tym bardziej że jeszcze jej nie masz na głowie, boś tylko królewicz. A taki królewicz, to tyle co nie opierzony kanarek.

A gdybyś już ją nawet miał, także by ci nie spadła! Ja już nie takich królów widziałem i królewiczów. Ho, ho!... Myślisz, że byle co? Zwiedziłem kęś świata i widziałem jednego króla, który pasł kozy pod swym zamkiem. Inny znowu deptał kapustę w beczce. Jednego orznięłem w karty i byłby przegrał swoje królestwo, ale przyszła królowa i przepędziła nas warząchwią. A podczas wędrówki spotkałem królewicza, który świnie pasł. Ale to byłaby długa historia. Tyle tylko powiem, że pasł świnie za karę, bo ukradł księżyc...

— Pleciecie, drwalu! — przerwał mu Janek.

— Co znaczy, „pleciecie, drwalu”? Wcale nie plotę. Mówię szczerą prawdę, a jeżeli mi nie wierzysz, to zapytaj się mnie, jak to było. No, ale my tu gadu, gadu, czas ucieka, a mnie trzeba ścinać drzewa. Idziesz ze mną czy nie idziesz? Bo jeżeli chcesz odzyskać Stazyjkę, to musisz na to zasłużyć. Za darmo ani koza nie beknie! Ty będziesz ścinał świerki i graby, a ja będę medytował, gdzie znajduje się Stazyjka. Może uda mi się ją odnaleźć. A gdy ją odnajdę, to mnie musisz zaprosić na wesele jako starostę. Zobaczysz, że nie powstydzisz się za mnie.

A Placyda ze złości pęknie jak purchawka. Ho, ho! Ja dobrze wiem, bo z niejednego pieca chleb jadałem i niejedno widziałem. Zobaczysz, że pęknie! No, prowadź konia, a ten złocony garnek, który masz na głowie, zdejść, bo ci nic na nią nie spadnie. Chyba szyszka. Ale szyszka nie robi ci dziurki w głowie. A w tym złoconym garnku będę gotował kapustę z ziemniakami na obiad.

— To jest hełm, a nie garnek! — obruszył się Janek.

— Hełm nie hełm, zawsze do garnka podobny. Nic się nie martw, królewiczu. A jak tobie na imię, żebym wiedział, jak na ciebie wołać, gdy w lesie zabłądzisz?

— Janek.

— Hm, ładnie się nazywasz. Lecz ja mam piękniejsze imię, bo nazywam się Cyprian. A moja nieboszczka żona nazywała się Cyprianka. No, ale idziemy. A po drodze namyśl się, czy warto ścinać drzewa, by odzyskać Stazyjkę!

— To wy ją chcecie odnaleźć? A jak to uczynicie, panie drwalu?

— Ho, ho! Już zostałem mianowany panem drwalem. Niech będzie pan drwal. Nic nie szkodzi. Może być nawet wielmożny pan drwal Cyprian. Będzie jeszcze piękniej brzmiało. Pytasz się, w jaki sposób odnajdę Stazyjkę? Niech mi się moja siekiera na pierwszym sęku wyszczerbi, jeżeli się mylę! Stazyjka została zaczarowana. W co ją Placyda przemieniła czarodziejskim zaklęciem, dowiem się...

— Od kogo?

— Od sroki. Jest to stara i bardzo mądra sroka, trochę już ślepa. Nazywa się Srokula. Ale powiadam ci, królewiczu, ta ma nos! Ho, ho! Wszystko wywacha, co się dzieje w moim lesie i w okolicy. Ona pierwsza wie i zaraz mi o tym mówi, że kościelny ukradł z proboszczowej piwnicy beczułkę wina i że wino wytrąbił, a do beczułki nalał wody. Ona pierwsza mi doniosła, że pod starą, spróchniałą wierzbą okocił się diabeł i że miał ośmioro diabłat. I ona mi także doniosła, że kominiarz... Ale co tu tyle gadać! Porządna z niej sroka i tyle! Żadnych gazet nie czytam, bo nie potrzebuję czytać. Ona wszystko mi doniesie, co się dzieje na dalekim świecie. No, chodź, królewiczu, bo robota czeka! Wiele tam pociechy nie będę miał z ciebie, boś takie chuchro, taki marcypanowy paniczyk, bledziutki, słabiutki! Wiesz, co ci poradzę? Na wszelki wypadek włóż sobie w kieszeń kilka kamieni, żeby cię wiatr nie zdmuchnął z grobli, gdy pójdziemy do domu! No, idziemy!

— Przepraszam, mości panie drwalu! — zatrzymał go jeszcze Janek. — Czy wy zawsze tak dużo gadacie?

— Kto dużo gada? Ja dużo gadam? Królewiczu, jak ty łiesz bez zajknięcia! Ja dużo gadam! Widział to świat! Ja wcale nie gadam, tylko powiem jedno, dwa słowa i już po wszystkim! Ale znałem takiego, co dużo gadał! To był ceglarz. Gdy ten zaczął gadać, to gadał i gadał... Ale o tym kiedy indziej. Idziemy! — to rzekłszy, ruszył przodem, a za nim Janek z drobniuchną ulgą w sercu, bo zaczynał być dobrej myśli. Nabrał bowiem zaufania do brodatego drwala. Kto wie, czy istotnie nie pomoże mu odnaleźć albo odczarować Stazyjkę.

I dobrze.

Królewicz Janek ścinał drzewa w lesie, a stary drwal z czarną brodą rozmawiał ze sroką Srokulą. Dopytywał się jej pilnie, co się stało ze Stazyjką wtedy, gdy poszła ze swą złą siostrą z dzbankiem na maliny.

— No, gadaj, czupiradło! — krzyczał na nią. Sroka bowiem skrzeczała, drapała się po głowie pazurkiem, kiwała nią, kiwała ogonem i nie mogła sobie przypomnieć, co się działo w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka.

— Nie krzycz na mnie - zaskrzeczała w końcu — bo gdy tak krzyczysz, moje myśli odpędzasz! Poczekaj, aż podrapię się jeszcze kilka razy, a ty, drwalu, tymczasem licz do stu!

Drwal zaczął liczyć do stu, a Srokula drapała się po głowie i przypominała sobie, co to działo się w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka. Drwal naliczył już do stu trzydziestu, a Srokula jeszcze sobie nie przypominała.

— No, Srokula! — wrzasnął na nią. — Już sobie przypomniłaś?

— Jeszcze nie! Zaczekaj do jutra, bo z pewnością jutro sobie przypomnę!

Minęło jutro, minęło pojutrze, minął trzeci dzień, potem cały tydzień, drwal naliczył już do milionkroć stu tysięcy, a sroka Srokula wydrapała już wszystkie piórka z głowy i jeszcze nie przypominała sobie, co działo się w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka. Drwal bardzo się nie martwił, że Srokula przypomina sobie tak długo, bo przez ten czas nie musiał ścinać drzew, tylko siedział pod bukiem, kurzył

fajkę i liczył na palcach. Za to Janek ścinał drzewa aż na dziwy. Walił siekierą, popluwał w dłonie, rozcierał je i znowu walił, że trzaski leciały naokoło, echo niesło się po lesie jak grzmot i raz po raz ogromne jodły i buki zwały się z hukiem na ziemię. A co ciął siekierą, radował się myślą, że każdym cięciem przybliża chwilę, w której odzyska Stazyjkę. I chociaż mu dłonie spuchły i porobiły się na nich odciski, i chociaż go w krzyżach łupało, a pot zalewał mu oczy — nie narzekał, gdyż myślał o Stazyjce.

Minął wreszcie ósmy dzień. Królewicz Janek miał już za sobą piętnaście ściętych świerków i osiem grabów, kiedy w końcu Srokula wpadła na pomysł, jak sobie przypomnieć, co działo się w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka. Oto stuknęła tak mocno główką o pień dębu, że w tej chwili wszystko sobie przypomniała.

— Wiem już! Wiem! — zaskrzeczała uradowana.

— Co wiesz? — zapytał drwal, który naliczył już do milionkroć stu tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu trzech.

— Już wiem! — wrzeszczała Srokula i prała skrzydłami z radości. — Gdy Placyda i Stazyjka zbierały maliny, to Stazyjka była schylona, a Placyda podeszła z tyłu i uderzyła ją jakimś prętikiem po głowie. I wtedy Stazyjka przemieniła się w kalinę!

— W kalinę, powiadasz?

— W kalinę! W krzew kaliny!

— A który to krzew?

— Ha, żebym wiedziała? Tego to już nie wiem, bo niedowidzę dobrze. Trzeba szukać...

— Dobrze już, dobrze! — rzekł zadowolony drwal. — Już się nie turbuj, bo ten krzew kaliny znajdę. Wprawdzie jest zatrzęsienie kalin w lesie, ale znajdę krzew zaczarowany. Już mam na to sposób. A raczej uczyni to królewicz-drwal. Łebski z niego królewicz! Nie można nic złego o nim powiedzieć. Wydawało się z początku, że to taki ciuciufrania, a tu okazuje się, że macha siekierą niezgorzej ode mnie. No, dziękuję ci, Srokulo!

Poszedł do Janka i tak mu rzekł:

— Umiesz lenić puszczalkę z kalinowej gałązki?

Janek odsapnął, starł rękawem pot z czoła i bardzo się zdziwił.

— Co takiego, panie drwalu? Co to znaczy „lenić puszczalkę”?

— Zaraz wiedziałem, że chociażes królewicz, ale trąba z ciebie stomilionka! Chodziłeś do szkoły czy nie chodziłeś? Bo jeżeli chodziłeś, a nie dowiedziałeś się, co to znaczy lenić puszczalkę, to zwróć ojcu te kromki chleba, które niepotrzebnie zjadłeś!

Wprawdzie ty nie jadałeś kromek chleba, bo masz zbyt delikatny żołądek, lecz wcinałeś marcypany, ale widać, że mizerna była ta twoja królewska szkoła!

— Nie gadajcie tyle, panie drwalu, bo stajecie się podobny do tego wieloryba, który połknął Jonasza. On też tak dużo gadał. Powiedzcie mi raczej, co to znaczy lenić puszczalkę?

— Więc słuchaj! Trzeba uciąć gałązkę kaliny, kozikiem opukać jej korę, potem pokręcić i z kory wyciągnąć środek. I z tej kory może być puszczalka. A podczas tej pracy trzeba wypowiedzieć takie zaklęcie:

Uleń mi się, puszczalczko,

Dam ci miodu, kochaneczko!

Bo jak mi się nie ulenisz

I w puszczalkę nie zamienisz,

Wtedy ciepnę cię pod płot,

Gdzie cię zeżre ślepy kot!

Janek wysłuchał pilnie, a potem zapytał:

— A na co mi ta puszczalka?

— Zobaczysz! Już w tym moja głowa, bo jej nie noszę od parady! Teraz chodź, nauczę cię lenić puszczalkę. A gdy się nauczysz, będziesz chodził od kaliny do kaliny i majstrował z nich puszczalki. A co jedną ulenisz, spróbujesz na niej zagrać. Umiesz piskać na puszczalce?

— Nie umiem, bo mnie tego w szkole nie uczono.

— Zaraz sobie to samo pomyślałem. To ty nic nie umiesz! Ale nie martw się, bo i tego cię nauczę. Bo ja znów nie jestem taki, na jakiego wyglądam. Tyś w nieszczęściu i smutku, a gdy widzę kogoś w nieszczęściu i smutku, serce kraje mi się na drobniutkie ćwierci z żalości.

A ja nie chcę żyć w żalości, bo wtedy mi nic nie smakuje. Nawet kapusta z ziemniakami mi nie smakuje. Taki już ze mnie człowiek. No, ale chodź, bo czas ucieka!

I zaprowadził Janka pod najbliższą kalinę, i nauczył go lenić puszczalkę. A gdy puszczalka była już uleniona, rzekł do Janka:

— Teraz na niej zapiskaj, jak umiesz!

Janek zapisał, lecz nic z tego nie wyszło.

— Do niczego! — rzekł drwał. — Rób drugą puszczalkę. Ale teraz już z następnej kaliny!

I po kolei będziesz lenił puszczalki tak długo, aż trafisz na tę kalinę, o którą nam chodzi!

— Już wiem! — uradował się Janek. — Stazyjka została zaklęta w kalinę!

— Hm, hm! Mądry z ciebie królewicz. Nie można nic złego powiedzieć. Nie każdy by wpadł na myśl, że Stazyjka została zaklęta w kalinę. A tyś wpadł! Widzę, że moja nauka nie poszła w las. I widzę, że z ciebie wyrośnie jeszcze porządny król z olejem w głowie. A gdy będziesz już tym królem po nieboszczyku Szłapecie III, to wspomnij sobie na mnie i zamianuj mnie przynajmniej jakimś ministrem albo generałem. Najlepiej będzie, gdy mnie zamianujesz generałem, bo jako drwał umiem pracować siekierą i gdyby jakiś sąsiedni król chciał ci wypowiedzieć wojnę, to tylko zawołasz: „Wielmożny panie generale Cyprianie! Wojna się ściele! Broń mojego kraju!...” To ja wtedy pokażę, co drwał potrafi! Ho, ho!... No, ale jazda z tą drugą puszczalką! A nie zapomnij zaklęcia: „Uleń mi się, puszczalczko...”

Janek ulenił zgrabną puszczalczkę z siedmiu kalin i wciąż nic.

Wtedy drwał powiedział:

— To nie tutaj! Chodźmy, gdzie najwięcej malin!

Poszli więc w głąb lasu, gdzie było najwięcej malin. Wśród nich rosła tylko jedna kalina.

— Z tej kaliny spróbuj! — poradził drwał.

Janek ulenił zgrabną puszczalczkę z tej jedynej kaliny wśród malin, przyłożył do ust i dmuchnął. I w tej samej chwili puszczalka smętnie zanuciła dziewczęcym głosem:

Graj, Janeczku, graj, Bóg ci pomagaj!

Moja siostra mnie zaklęła

I w kalinę przemieniła.

Graj, Janeczku, graj, Bóg ci pomagaj!...

I gdy puszczalka wygrała tę smętną piosenkę, kalina zaszumiała i... dziwo! Ni stąd, ni zowąd przemieniła się w śliczną jasnowłosą, niebieskooką Stazyjkę. Stazyjka przeciera oczy, jakby z długiego snu przebudzona, mruga, rozgląda się ogromnie zdziwiona, patrzy na brodatego drwala, a w końcu na Janka. Krzyknęła leciutko i złożyła dłonie przy ustach.

— Stazyjka — szepnęła wniebowzięty Janek.

— O królewiczu! O Janku! — zaświergotała słowiczym głosem Stazyjka i padła w wyciągnięte ramiona Janka.

Co się potem działo, trudno już opisać. Tyle tylko, że brodaty drwal buczał ze wzruszenia jak prawdziwa trąba jerychońska i wycierał kapiące łzy z oczu, a Janek i Stazyjka szeptali uskrzydłone słowa, patrzyli sobie w oczy i tak im było, jakby się przed nimi niebo otworzyło.

Ptaki rychło się o wszystkim zwiadziały, bo stara Srokula jęła w te pędy roznosić plotki po calutkim lesie. Zleciały się więc i uczyniły radosny harmider. Przyleciał wiatr pachnący różami i jał płasać wśród drzew, drzewa zaś rozszumiały się radośnie. I byłaby ta radość trwała nie wiedzieć jak długo, lecz pierwszy oprzytomniał drwal i tak rzekł:

— Dzisiaj już koniec ze ścinaniem drzew. Teraz was zapraszam do swojej chałupy, ugotuję wam w złotym garnku kapustę z ziemniakami! Proszę bardzo...

To rzekłszy ruszył przodem. Za nim szli rozanieleni i wniebowzięci Stazyjka z Jankiem, a nad nimi leciały ptaki i śpiewały najśłodsze piosenki weselne. Jedyne sowa wystawiła głowę z dziupli wierzb, wytrzeszczyła wielkie, okrągłe oczy i jęła zawodzić: „Uhu! Uhu!...”

Niewiadomo, o co jej chodziło.

Na drugi dzień drwal tak powiedział:

— Moi złoci ludeczkowie! Przez całą noc rozmyślałem, jak to uczynić, żeby dobrze było. A, żeby dobrze było, trzeba postępować rozważnie. Placyda popełniła zbrodnię, musi być teraz kara.

— Jaka? — zapytał Janek.

— Ja proszę, by jej nikt nie karał! — rzekła Stazyjka.

— Nic z tego! Kara musi być, bo inaczej nie byłoby porządku i sprawiedliwości na świecie! — rzekł mądrze jak filozof. — Kara zaś będzie bardzo prosta. A teraz pójdziemy do matki Stazyjki. Stazyjkę ukryjemy w komorze. A co potem nastąpi, jeszcze zobaczysz, Janku! Tylko zabierz z sobą piszczałkę! A po drodze... Nie! Przedtem jeszcze musisz się jakoś oporządzić, królewiczu, bo wyglądasz jak rzeźmieszek. Nie ogolony, kudłaty, obdarty! Nic dziwnego, jeżeli ktoś ścina drzewa przez osiem dni, musi tak wyglądać. Stazyjka ci pomoże!

Stazyjko, wyszoruj głowę Jankowi, bo ma włosy zlepione żywicą, połataj jego spodnie i marynarkę, poprzyszywaj mu guziki, bym nie musiał się za niego wstydzić! Ja zaś wyczyszczę popiołem jego hełm, w którym gotowałem kapustę z ziemniakami, i pójdę po jego zbroję, która wisi na spróchniałej wierzbie. Z pewnością już się w niej zagnieździły wrony lub kawki. A gdy Janek będzie już podobny do królewicza, udamy się do matki... No, już! Chwytać się roboty!

Stazyjka nalała do szaflika wody i jęła szorować głowę Janka. Drwal czyścił popiołem złoty hełm. Potem poszedł i zdjął ze spróchniałej wierzb zbroję. Istotnie już zdołały się w niej zagnieździć wrony! Drwal rozpedził je i przyniósł zbroję do chałupy.

Wyczyścił ją także popiołem, a tymczasem Stazyjka już uczesała złociste włosy Janka, przyszyła guziki do skórzanego kubraka, połatała spodnie, potem pomogła mu włożyć na siebie zbroję, pomogła mu włożyć złoty hełm na głowę i ruszyli do matki. Rumak szedł za nimi i rżał cichutko z ukontentowania, że Stazyjka została odczarowana.

Dotarli do chałupki, ukradkiem zaprowadzili Stazyjkę do komory i kazali jej tam siedzieć tak długo, dopóki jej nie zawołają. Potem drwal z Jankiem wstąpili do izby. Matka płakała, a Placyda dłużyła palcem w nosie.

— Dzień dobry, pani matko! Dzień dobry, nadobna córo, Placydo! — rzekł dwornie drwal.

— Dzień dobry, pani matko! Dzień dobry, Placydo! — rzekł Janek niemniej dwornie, pouczony poprzednio przez drwala.

— Mój złoty królewicz! — zapiszczała Placyda, zerwała się z ławy i pobiegła do Janka.

— Hola, mościa panno, bo co nagle, to po diable! — wstrzymał ją drwal. — Siędnij

grzecznie na ławie i słuchaj, co powiem. Otóż wiedzcie, pani matko i ty, nadobna dziewico Placydo, że przychodzę tu jako swat!

— Ojej! — zapiszczała Placyda.

— Cicho, bo jeszcze nie skończyłem! Jak więc powiedziałem, przychodzę tu jako swat, a ten oto królewski młodzieniec pragnie wam się pokłonić, pani matko, i prosić, byście go przyjęli jako przysłego zięcia!

— Ojej! — zaskrzeczała znowu Placyda.

— Cicho! — huknął na nią drwal. — Bo jeszcze nie skończyłem! Oto zanim, pani matko, wypowiesz swą zgodę, niechaj najpierw twa zacna córa, Placyda, zapiska na piszczałce!

Królewiczu, podaj Placydzie piszczałkę! — zwrócił się do Janka.

Janek wydobyl spoza zbroi piszczałkę i podał ją Placydzie. Placyda, jakby przeczuwała coś złego, wzięła ją niechętnie i przypatrywała się jej nieufnie.

— No, zapiskaj, Placydo! Bo w przeciwnym razie... — i nie dokończył, gdyż Placyda przyłożyła piszczałkę do ust i dmuchnęła ostrożnie. A w tej samej chwili piszczałka zaśpiewała Stazyjczynym głosem:

Graj, siostrzyczko, graj! Bóg cię ukaraj!

Tyś mnie prętem uderzyła

I w kalinę zamieniła,

Graj, siostrzyczko, graj! Bóg cię ukaraj!...

Gdy piszczałka wyśpiewała tamte słowa, Placyda cisnęła ją na podłogę i zaczęła piszczeć, że to nieprawda, że Stazyjkę wilki pożarły, a może smok ją porwał, a może wieloryb połknął, że to wierutne łgarstwo, co piszczałka śpiewa...

— Zaraz, zaraz, moja panno! — przerwał jej drwal. — Janek! — zwrócił się do królewicza i mrugnął na niego.

Janek pobiegł do komory i przyprowadził Stazyjkę. Wtedy matka o mały włos, a byłaby zemdląła z ogromnej radości. Placyda zaś wezbrała taką złością, że drwal miał zaledwie czas krzyknąć:

— Pani matko, Stazyjko i Janku! Uszy zatkać palcami!

I gdy to rzekł, Placyda z tej okrutnej złości pękła jak purchawka. I już nie było Placydy.

Była tylko Stazyjka z królewiczem i matka, i zadowolony drwal, i rżący rumak przed chałupką, i rozśpiewany zgiełk, ptaków, i skrzeczenie sroki Srokuli, i szumiący wiatr. Niedługo trwało, a wiatr i Srokula rozniosły po całym świecie radosną wieść, że czarownica Placyda pękła ze złości i że Stazyjka zaręczyła się z królewiczem Jankiem, i że dwie dziurki w nosie skończyły się...

Nieprawda! Jeszcze się nie wszystko skończyło!

Bo oto do brzegu przyplłynął brzuchaty wieloryb i tak rzekł:

— Kochani ludeczkowie! Co tu się stało, że sroki wrzeszczą takie uradowane?

Przyplłynąłem, żeby się dowiedzieć, bo nie dosłyszałem, co krzyczą, gdyż morze szumi!

Janek wszystko opowiedział wielorybowi. I jeszcze nie skończył opowiadać, a tu leci smok na ogromnych nietoperzowych skrzydłach, siada przed nimi podobny do straszdyła i tak pyta:

— Kochani ludeczkowie! Co tu się stało, że sroki latają z jakąś radosną plotką? Bo nie dosłyszałem, co wrzeszczą.

Janek zaczął opowiadać od początku, a smok słuchał i prał łuszczastym ogonem po ziemi z wielkiego ukontentowania. I gdy Janek skończył, smok rzekł:

— Poczekajcie, moi mili. Zrobię sztuczny ogień, żeby uczyć wasze wesele!

A wieloryb tak rzekł:

— Poczekajcie, moi mili, zrobię wodotrysk, jakiego jeszcze nikt nie widział, żeby uczyć wasze wesele!

I smok podniósł łeb, i wypuścił z pyska ogromny kłęb płonącej siarki, co było niesłychanie piękne. A wieloryb nadał się i wypuścił z nozdrzy wysoki słup wody, bardzo wysoki, co było również niesłychanie piękne.

A gdy tak Stazyjka, jej matka, Janek i drwal patrzą na sztuczny ogień smoka i na wodotrysk wieloryba i klaszczą, i cieszą się, skąd się weź, to się weź, drogą biegnie dwunastu zakonników z przeorem na przedzie! Biegną i śpiewają coś po łacinie! Wszyscy w habitach, przepasani powrozami, z wygolonymi kudłami na czubku głowy, obwieszani różańcami, tylko że gęby ich kostropate, nochale pijackie, a łacina bardzo koślawa.

— Kto wy jesteście? — zapytał zdumiony Janek.

— To nas już nie poznajesz, królewiczu? — wrzasnął przeor z fioletowym nosem. — To my jesteśmy, zbójnicy! Do klasztoru wstąpiliśmy, ja zostałem przeorem, a moi kamraci braciszkami zakonnymi, a że dowiedzieliśmy się od srok-plotkarek, iż Placydę diabli wzięli, a Stazyjka została odczarowana i zaręczyła się z tobą, więc przybiegliśmy, żeby się z wami radować. No, kamraci! Zaśpiewajmy Stazyjce i królewiczowi Jankowi „Sto lat!”

Braciszkwowie ustawili się, przeor dał znak i zaczęli śpiewać, żeby Stazyjka i Janek żyli sto lat. Śpiew był podobny do beku zarzynanych baranów. Darli się bowiem nieskładnie, piszczeli dyszkantem, buczeli jak zardzewiałe trąby, lecz to wszystko było bardzo wzruszające.

A gdy już wszyscy tak się ucieszyli, pożegnali się z wielorybem i powsiadali na grzbiet smoka — gdyż smok o to prosił. I tak pani matka, Stazyjka, Janek, drwal, dwunastu braciszków z przeorem i czarny rumak pofrunęli na smoku do państwa króla Szłapety III.

Co się potem działo na królewskim dworze, tego także już nikt nie potrafi opisać. Było wesele takie, jakiego jeszcze nie było na świecie. Najbardziej radował się król Szłapeta III i z tej radości wytrąbił siedem beczek wina, darował królestwo swemu Jankowi, drwala mianował ministrem wojny, a zbójnikom zbudował piękny klasztor z ogromną piwnicą pełną beczek najprzedniejszego wina. I ja też tam byłem, miód i wino piłem, a co widziałem, słyszałem, wiernie wam tu opisałem.